

Zwichnięte rewolucje

16 kwietnia 2012

Czy trwająca półtora roku arabska wiosna jest przygotowaniem artyleryjskim do ataku na Iran? Próba analizy.

Formalny opis zjawiska może wyglądać tak: W ciągu kilku pierwszych miesięcy roku 2011 USrael stracił na Bliskim Wschodzie trzech lojalnych wasali: Hosni Mubaraka w Egipcie, Ben Alego w Tunezji i Saada Hariri w Libanie. Dwóch pierwszych zmiotły gwałtowane wystąpienia uliczne, trzeciego szurnął parlament. Zachęczone powodzeniem rebelie uliczne szybko przeniosły się bardziej na wschód i zaiskrzyły w Jemenie, Bahrajnie, Jordanii i Arabii Saudyjskiej, a więc w krajach rządzonych przez jeszcze bardziej autokratyczne dyktatury prozachodnie. Ten kierunek rewolucji umacniał jednak antyamerykańską „oś oporu” (Iran, Syria, Libia, Hezbollah i Hamas) i był dla USraela rosnącym zagrożeniem.

O ile więc pierwsza faza „arabskiej wiosny” jak ją nazwano na Zachodzie (bo po arabsku są to po prostu „thuraat al-arabijja” czyli rewolucje arabskie) poszła raczej gładko i na usuniętych dyktatorów bez większego żalu jakby machnięto ręką, to wobec tej drugiej, która objęła „oś posłuszeństwa” USraelowi, przystąpiono do kontrataku na wszystkich kierunkach stosując kilka wypróbowanych metod z dziedziny zarządzania kryzysem. Najważniejsze z nich to (1) wzniecanie fałszywych rewolucji w krajach „osi oporu” (Libia, Syria); (2) zawłaszczanie rewolucji tam, gdzie przewroty już się udały (Egipt, Tunezja, Jemen); (3) szybkie i krwawe zdławienie nowych rebelii (Bahrajn), aby nie wymknęły się spod kontroli, tak jak w Tunezji lub Egipcie; (4) wzmocnienie konfliktów wewnętrznych wg scenariusza wypróbowanego w Iraku: sunnici przeciw szyitom, muzułmanie przeciw chrześcijanom, Arabowie przeciw Persom itp. Dodatkowo w Maroku zastosowano metodę miękkiej prewencji przeprowadzając zawczasu zmianę konstytucji i dopuszczając najłagodniejszego z przeciwników do władzy.

PIERWSZA METODA

Pierwszą z zastosowanych metod jest wzniecanie fałszywych rewolucji w krajach osi oporu i obwoływanie ich dalszą częścią „wiosny arabskiej”. Scenariusz wygląda następująco: do upatrzonego kraju nasyła się wcześniej wyszkolone i uzbrojone oddziały najemników, które zajmują miejscowości najbardziej skonfliktowane z władzą i udają powstanie ludowe. Kiedy następnie władza próbuje je stamtąd wykurzyć, podaje się to za „łamanie praw człowieka” i doprowadza do fazy, w której rebelię wspomaga otwarta inwazja z zewnątrz, rzekomo w obronie krzywdzonej ludności. Ogromne znaczenie ma w tej metodzie zgodny i głośny chór zachodnich mediów oraz usługowe głosy wyhodowanych wcześniej na emigracji komitetów różnych zdrajców, którzy tak bardzo nienawidzą rządu w swoim kraju, że wzywają przeciw niemu pomocy Zachodu. Ostatecznie gotowe gabinety przywozi się na koniec w teczkach i instaluje u władzy tak jak w Iraku lub Afganistanie.

Pierwszym krajem, w którym w ramach „wiosny arabskiej” zastosowano ten scenariusz była Libia. Kaddhafi nie był wprawdzie tak groźny dla USraela jak Assad lub Ahmadineżad, bardzo się przez lata ukorzył, ale wrogiem być nie przestał, a mając w ręku ogromne środki z eksportu ropy knuł w Czarnej Afryce, i zamyślał przywrócić walutę opartą na złocie, czyli zdetronizować pustego dolara. Miał też odpowiednio już zszarganą opinię (także w krajach arabskich, gdzie powszechnie nazywano go madżnun tj. wariat), był poróżniony ze wszystkimi przywódcami i można mu było przypisać każdą niegodziwość. Libia była więc najsłabszym ogniwem na liście państw, których rządy przewidziano do „zmiany reżimu”. Wciśnięta między Egipt a Tunezję, doskonale nadawała się także na ilustrację wygodnej tezy o osmotycznym przenikaniu rewolucji, a mając wielkie pustynne terytorium, długie i puste granice oraz mało ludności, idealnie pozwalała nasłać sobie do środka dowolną liczbę „partyzantów”. Dla opinii publicznej z zewnątrz wszystko mogło więc wydawać się prostą kontynuacją procesu,

który zaczął się na ulicach Tunisu i Kairu.

Dziś już powszechnie jest wiadomo, że w odróżnieniu od raczej spontanicznych i masowych demonstracji w Tunezji, Egipcie i Bahrajnie, w Libii żadnego masowego powstania ludności nie było, a rewolta była w głównej mierze przygotowana, wzbudzona, uzbrojona i kierowana z zewnątrz. Zresztą nawet taka nie mogłaby się udać i w ostatecznej fazie Libia po prostu padła ofiarą otwartej, bezprawnej agresji NATO, bo tzw. „powstańcy” napotykali bardziej opór niż poparcie ludności. Istnieje zresztą dość dowodów, że „zmiana reżimu” w Libii była przygotowana wcześniej wraz z operacjami lotnictwa. Np. zaplanowane na 21-25 marca 2011 manewry lotnicze „Southern Mistral” były identyczne z operacją „Świt Odysei” przeprowadzoną 19 marca przez lotnictwo Francji, Wielkiej Brytanii i USA.

Drugim krajem wobec którego właśnie stosuje się i niemal dokładnie powtarza ten sam scenariusz jest Syria. Tu stawka jest jednak o wiele większa, bo Syria to państwo frontowe i dość niezłomne, pozostające w stanie wojny z Izraelem i graniczące z Turcją (członek NATO), goszczące rosyjską bazę wojskową w Tartus, popierające Hezbollah w Libanie i Hamas w Palestynie, a na dodatek oparte o sojusz z Iranem. Można postawić tezę, że Syria jest od początku głównym celem serii kontrolowanych rewolucji w krajach arabskich ze względu na każdy aspekt polityki USraela w tym regionie. Żadne inne państwo nie stoi tak bardzo na przeszkodzie jego strategii i planom jak właśnie Syria rządzona przez alawitów i Baath (Socjalistyczną Partię Odrodzenia Arabskiego).

Podobnie jak w Libii powstanie w Syrii nie jest ani spontaniczne ani pokojowe. Od pierwszej godziny działania prowadzą tam oddziały przeszkolone, uzbrojone i nasłane z zewnątrz. Podobnie jak w Libii są to przeważnie fundamentaliści muzułmańscy spod znaku al-Kaidy, którzy sądzą, że walczą o ustanowienie państwa muzułmańskiego. Zwykle nie dostrzegają oni tożsamości swych prawdziwych mocodawców i nie

z nimi się ugadują, bo pośrednikiem w ich szkoleniu i uzbrojeniu są służby specjalne takich państw jak Arabia Saudyjska lub Katar. Z ich krótkowzrocznej i fanatycznej perspektywy chodzi tam o to, aby obalić rządzącą w Syrii sektę alawitów, do której należy ród Assadów i duża część korpusu armii, a która przez sunnicką większość jest uważana za herezję z trudem mieszczącą się w ramach islamu. Dowodem na to ma być fakt, że alawici (ok. 10% ludności) ochraniają także inne mniejszości w Syrii, a w tym zwłaszcza znienawidzonych chrześcijan (kolejne 10%). Dlatego na terenach, gdzie działa taka nasłana z zewnątrz „partyzantka”, zwłaszcza w sunnickich miastach Homs i Hama w środkowej Syrii oraz w Deraa na południu, dochodzi do krwawych pogromów chrześcijan i innych mniejszości, które stanowią większość ofiar cywilnych przypisywanych potem kontratakującej armii syryjskiej. W Internecie jest pełno materiałów, także filmowych, które to potwierdzają. Dużo jest również dowodów na to, jak agresja wobec Syrii była przygotowywana pod względem wojskowym i polityczno-propagandowym. Polecam tu zwłaszcza artykuł w nsnbc.wordpress.com : The Manufacturing of the War on Syria, dr Christofa Lehmana.

DRUGA METODA

Drugą metodą strategicznej kontroli nad „wiosną arabską” jest zawłaszczanie rewolucji tam, gdzie przewroty się powiodły i dyktatorzy zostali obalenii. Dotyczy to zwłaszcza Tunezji, Egiptu i Jemenu. Główną rolę w planach USraela odgrywa obecnie armia i jej stare struktury, dzięki którym Zachód zachowuje kontrolę nad rozwojem i kierunkiem wydarzeń w tych krajach. W powszechnym rozgardiaszu i niepewności jaka jest norma po każdej rewolucji, armia pozostaje jedyną siłą odpowiednio zorganizowaną, sprawną w działaniu i doinformowaną (służby specjalne, wywiad), która zapewnia de facto kontynuację starego porządku i uzależnienia. Najlepszym tego dowodem jest Egipt, którego armia walcie dopomogła w opanowaniu Cyrenajki i nasyłaniu „partyzantów” do walki z Kaddhafim. Najistotniejsze

dla postawy armii są tu dwa czynniki: (1) prawie całe uzbrojenie krajów arabskich (wraz z amunicją, częściami zamiennymi, szkoleniami itp.) jest kupowane na Zachodzie, głównie w USA; (2) prawie cała wyższa kadra oficerska od majora wzwyż jest szkolona na Zachodzie, głównie w USA. Daje to służbom specjalnym USraela wgląd w personalia, portrety psychologiczne i motywacje dowódców, pozwala kierować ich awansami, zniewala i uzależnia. Warto będzie o tym kiedyś więcej napisać, tym bardziej, że zjawisko dotyczy także Polski, która też zamieniła woroszyłowkę na West Point i wszyscy sądzą, że teraz jest fajnie.

Trochę nieoczekiwanie pośrednikiem zawłaszczania rewolucji staje się prawie wszędzie Bractwo Muzułmańskie, o czym już kilkakrotnie pisałem. Jak dotąd zdobyło ono władzę w Tunezji, Egipcie i Maroku, ale ma ochotę na więcej. Przyjęta przezeń strategia oswojenia Zachodu z islamem oraz zaistnienia w światowej opinii publicznej jako przewidywalny i cywilizowany partner dialogu i interesów (którym zresztą jest), implikuje daleko posuniętą uległość przynajmniej wobec Wielkiego Żandarma zza oceanu. I znowu najlepszym tego przykładem jest Egipt, gdzie Bractwo usilnie szuka współpracy z armią i konsultuje swe najważniejsze posunięcia, także kadrowe z nowym ambasadorem USA w Kairze, panią Anną Patterson. Ostatnio współpracowało z nią przy wystawieniu swego kandydata Szatera w nadchodzących wyborach prezydenckich i utraceniu rywala od salafistów Abu Ismaila, o czym pisałem 11 kwietnia („Sposób na faraona”). Obecnie zresztą nowe władze Egiptu, Tunezji i Jemenu też optują posłusznie za „zmianą reżimu” w Syrii i Iranie.

TRZECIA METODA

Trzecią metodą odgórnej kontroli „arabskiej wiosny” było szybkie zdławienie niewygodnych rebelii w zarodku. Niewygodnych, tzn. wybuchających w posłusznych i w pełni kontrolowanych monarchiach absolutnych Maszreku, jak po arabsku nazywa się region na wschód od Egiptu, głównie na

Półwyspie Arabskim. Choć tamtejsze reżimy są o wiele mniej demokratyczne niż w republikach, rozrzutne, sprzedajne i niemoralne, fakt że podlizują się i wysługują na wypródki USraelowi chroni je od wszelkiej krytyki, daje im ochronę wywiadów i wsparcie wojskowe na wypadek rozruchów. Demonstracje w Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Bahrajnie i innych księstwach nad Zatoką Perską zostały błyskawicznie stłumione z wielką siłą (najkrwawiej w Bahrajnie) przy niemal zupełnym milczeniu światowych mediów. Za to należąca do emira Kataru telewizja al-Dżazira, tak popularna w arabskich domach jak w Polsce RWE za komuny, i tak samo kontrolowana, o wydarzeniach w Syrii trąbi codziennie, ale zawsze na jedną nutę, nie przedstawiając nigdy poglądu drugiej strony.

Częścią tej samej metody jest stosowany przez monarchie znad Zatoki i ich służby specjalne eksport ich domowych rewolucji najpierw do Libii, a obecnie do Syrii. Za pieniądze wyłożone przez zagrożonych monarchów z Maszreku dokonano rozpoznania organizacji islamskich fanatyków oraz najmitów z innych krajów, a następnie ich potajemnie przeszkolono, uzbrojono i przerzucono do namierzonych krajów wskazując je jako cel do zdobycia. To sprytna metoda: u siebie spokój, u rywala kłopoty. Handlarze broni zacierają ręce, Izrael śpi spokojnie potrząsnawszy workiem ze szczurami, a islamscy bojownicy też mają to, co lubią. Należy zresztą ufać, że duża część z nich zginie z okrzykiem Allah akbar na ustach za sprawę, której się nawet nie domyśla. Oto jak można sprawić, by wszyscy byli szczęśliwi. No, może prawie wszyscy. Więcej na ten temat pisze Nick Turse w artykule pt. „Did the Pentagon Help Strangle the Arab Spring” w najnowszym wydaniu CounterPunch 13-15 April, 2012.

CZWARTA METODA

I wreszcie czwarta, prastara metoda: divide et impera, czyli szczucie sunnitów na szyitów, muzułmanów na chrześcijan, Arabów na Persów itp. Dobrym przykładem było powstanie w Bahrajnie, które przedstawiono jako rebelię „zawsze

niepokornych szyitów” przeciw sunnickiemu władcy. To wygodna teza, bo szyici to prawie wszędzie uboższa część ludności, mniej ustosunkowana, ciemniejsza, a więc bardziej podatna na fanatyzm i niepokorna. Wygodna także dlatego, że pozwala szczuć na inne mniejszości (szyici prawie wszędzie stanowią mniejszość) np. na chrześcijan (którzy w Syrii popierają Assada), a więc bez obawy, że się zwąchają i zjednoczą. Wygodna również dlatego, że ułatwia obwinianie szyickiego Iranu jako na tego, który to wszystko aranżuje i podjudza – ergo zagraża. Bardzo dobrze pisze na ten temat Finnian Cunningham po angielsku, a jeszcze lepiej Nabil Radżab, tylko że po arabsku.

Ogólny wniosek z tych rozważań jest taki, że to co zaczęło się jako zapewne duża nadzieja w Tunezji i Egipcie na początku 2011, dziś po blisko półtora roku zostało zwichnięte, zawłaszczane i odwrócone we wszystkich krajach, gdzie miało swój prawdziwy lub przypisany ciąg dalszy. Posłużyło bardziej wrogom sprawy arabskiej niż samym Arabom, wiele krajów cofnęło w rozwoju, obniżyło poziom życia i bezpieczeństwa, dokonało wielu zniszczeń i wpędziło cały region w strefę długotrwałego zamętu, co ułatwia dalsze nim manipulowanie. To, co w tej chwili nadal dzieje się w Syrii i wokół Iranu może też świadczyć o tym, że rewolucje te wykorzystuje się jako ostrzał artyleryjski przygotowujący nikczemną wojnę z Iranem, groźną dla całego pokoju na świecie.

Jednakże skala i zamaszystość tych działań w tak ogromnym regionie rodzi we mnie pokusę pójścia z tezą o krok dalej i każe mi zadać pytanie, czy również pierwsza fala tych rewolucji (Tunezja, Egipt) była rzeczywiście aż tak spontaniczna, jak uważa większość obserwatorów. Jeśli bowiem założyć, że i one musiały być częścią planu i miały np. spełnić rolę podpałki dla całego rejonu (a wiele towarzyszących im faktów nadal musi bardzo zastanawiać), to trzeba zauważyć, że na ich przygotowanie manipulatorzy mieli najwięcej czasu i dlatego one udały się najlepiej, a ich

zamaskowanie było najlepsze.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)